

Ciocia Jadzia (1916-1994)

Zygmunt Wojski (Wrocław)

Zygmunt Wojski urodzony 30 lipca 1941 roku w Skierniewicach. W latach 1941-1966 mieszkał przy ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach. W latach późniejszych objechał służbowo, jako romanista-iberysta, całą Amerykę Łacińską, Hiszpanię, Francję, Rumunię, Niemcy i Portugalię. W magazynie „Culture Avenue” można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu **„Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty”**.

Była jedną z trzech córek leśniczego Poborca i całe dzieciństwo spędziła w Puszczy Bolimowskiej w leśniczówkach i gajówkach. W Budach Grabskich mieszkała w pobliżu domu dziadków Janusza Reszki i opowiadała mi, jak to dziadek Janusza wołał do swojej żony: „Beniu! Lis kury dusi!” Znała i kochała Puszcę Bolimowską, jak mało kto. Była urodziwą kobietą. Poznała brata mojej Mamy, Zygmunta Łazęckiego (1915-1942) i pobrali się. Zanim został wykończony ich drewniany domek pod samym lasem wujek Zygmunt zaangażował się do partyzantki i działał na terenie powiatu skierniewickiego, między innymi we wsi Mokra Lewa, skąd pochodził jego kolega z partyzantki, niejaki Baran. Wiem, że roznosili ulotki antyniemieckie.

Babcia Łazęcka, matka wuja Zygmunta, nie była zadowolona z tej jego działalności i często zwracała mu uwagę na niebezpieczeństwo, jakie mu grozi ze strony wroga. Wuj Zygmunt odpowiadał na to jednym zdaniem: „Pilnujcie swoich garnków!”

Któregoś dnia na podwórku dziadków Łazęckich na Starbacisze pojawił się typowy niemiecki motocykl z przyczepą. Byli to oficer niemiecki i jego tłumacz, który pytał babcię o wuja Zygmunta. Babcia odpowiadała, że nie wie, gdzie on może być. Wówczas zagrożono jej, że zabiorą w takim razie jego młodszego brata Tadeusza. W końcu ustalono, że wuj Tadeusz pojedzie z nimi tam, gdzie w istocie przebywał wuj Zygmunt, a było to pod samym lasem, na miejscu budowy domu, w którym potem mieszkała Ciocia Jadzia z synem Wiesławem, o rok starszym ode mnie. Zabrali wuja Zygmunta, który początkowo przebywał w więzieniu na Pawiaku, a potem, aż do tragicznej śmierci, w Oświęcimiu.

Rozpacz babci i Cioci Jadzi była ogromna. Ciocia Jadzia, ilekroć wspominała te wydarzenia, zawsze płakała. Po zamordowaniu wuja Zygmunta władze obozu śmierci w Oświęcimiu wysłały do Cioci telegram w języku niemieckim treści następującej: „Ihr Ehemann ist gestorben” (Pani mąż zmarł). Ciocia pokazywała mi ten telegram. Aby zrozumieć jego treść poszła do biura notarialnego na ulicy Lelewela w Skierniewicach, gdzie znajoma notariuszka przetłumaczyła jej na polski tę straszną wiadomość. Można sobie łatwo wyobrazić, jak rozpaczona była cała rodzina Łążeńskich. Ciocia Jadzia jeździła jeszcze na Pawiak po odbiór ubrania wuja Zygmunta, co było kolejnym strasznym dla niej przeżyciem.

Przez całe życie Ciocia Jadzia pracowała jako sklepowa, także na Mokrej Prawej, dokąd jeździła na rowerze deszcz nie deszcz, wiatr nie wiatr, błotnistą polną drogą od lasu aż do wsi. Droga ta ma ponad kilometr długości. Klientela Cioci Jadzi zawsze miała o niej bardzo pozytywną opinię. Miała też szerokie znajomości wśród okolicznej ludności. W okropnym roku 1981, kiedy nawet herbaty nie można było kupić, na rowerach pojechaliśmy oboje z Ciocią do sklepu na Borowinach. Droga do tej przepięknej mazowieckiej wsi na skraju Puszczy Bolimowskiej wiedzie cały czas przez las. Ku naszemu zaskoczeniu w tak zwanym wówczas sklepie „Samopomocy Chłopskiej” na Borowinach półki się uginały pod paczkami różnorodnej herbaty. Wypełniłem nią cały mój plecak i miałem zapas na cały rok. Nie udałoby się to, gdyby nie fakt, że sprzedawczynią w tym sklepie była dobra znajoma Cioci Jadzi. Gdy opowiadałem o tej wyprawie moim znajomym w Argentynie, nie mogli pojąć dlaczego po zwykłą herbatę trzeba było jechać na rowerze przez las i robić takie zapasy. No, ale ludzie w Argentynie jeszcze nie wiedzą, co to jest taki prawdziwy „fest” komunizm!!!



Jadwiga i Zygmunt Łazęccy, fot. arch. autora



Jadwiga z Poborców Łazęcka, fot. arch. autora

*

Moje wizyty u niezwykle gościnnej Cioci Jadzi zaczęły się, gdy byłem w ostatnich klasach szkoły powszechnej, bo wtedy właśnie pojawiły się w naszym gospodarstwie dwie krowy, które wypędzaliśmy na nasze pole aż na skraj Puszczy Bolimowskiej, czyli od naszego domu na ulicy Łowickiej blisko 3 kilometry. Domek Cioci Jadzi był od naszego pola bardzo blisko. W latach 80. jeździłem z Ciocią na rowerze do lasu na jagody. Podczas takiego zbierania przy pięknej, niemal upalnej pogodzie oboje śpiewaliśmy piosenki. Okazało się, że Ciocia pamiętała na przykład piosenkę „Kukułeczka” ze słowami Marii Konopnickiej i muzyką Zygmunta Noskowskiego („Po tym ciemnym boru kukułeczka kuka,/ z ranka do wieczora gniazdka sobie szuka”).

W tymże okresie zacząłem uczyć we Wrocławiu języka portugalskiego. Pewnego dnia, leżąc na leżaku u Cioci na podwórku, jałem śpiewać po portugalsku brazylijski marsz karnawałowy z repertuaru Nary Leão, pod tytułem „A banda” (Orkiestra). Przechodząca właśnie obok mnie Ciocia rzekła: „Wiesz co, Zygmuś, to znakomita muzyka do tańca. Fajnie by się tańczyło przy takiej muzyce!”

Innym razem podczas mojej wizyty zjawiała się u Cioci jej kuzynka, Fredzia Mildowa w towarzystwie warszawianki, która podawała się za śpiewaczkę operetkową. Więc ja natychmiast poprosiłem ją, by coś koniecznie zaśpiewała. Najpierw tłumaczyła się, że jest nieco zachrypnięta, bo za długo moczyła nogi w zimnej wodzie Rawki. Aliści ja mam, nie chwając się, dość obszerny repertuar operetkowy i gdy śpiewając najpierw sam kilka melodii doszedłem do „Arii Adeli” z „Zemsty nietoperza” (*Ja się śmieję ha, ha, ha*) pani warszawianka nie wytrzymała. Nasz śpiew rozlegał się szeroko i daleko po okolicy. Spłoszona nieco tym naszym występem Ciocia wyszła ze swego letniego mieszkanka, gdzie coś pitrasila i rzekła ostrzegawczo: „Zygmuś, ciszej trochę, bo zaraz tu zbiegną się ludzie, aby sprawdzić, co się dzieje!”

Na zakończenie było tango, już w letniej kuchence. Porwałem do tańca panią Fredzię, ale jej pies, sądząc, że mam wobec niej niezbyt dobre zamiary, jał na mnie skakać i niemal gryźć. Było bardzo wesoło u mojej niezapomnianej chrzestnej Cioci Jadzi, osoby szlachetnej, gościnnej ogromnie, niezdolnej w żadnej sytuacji do najmniejszej złościwości wobec innych. Świeć Panie nad Jej duszą!

Zobacz też:

Trzy młyny nad rzeką Łupią

Halina Birenbaum. „Z historii mojego życia po Zagładzie. Wspomnienia”.

r.

Halina Birenbaum, zamieszkała w Izraelu, jest pisarką, poetką, tłumaczką. W roku 2001 otrzymała tytuł Człowieka Pojednania przyznawany przez Polską Radę Chrześcijan i Żydów osobom spoza Polski szczególnie zasłużonym dla dialogu polsko-żydowskiego. Halina Birenbaum urodziła się 1929 r. w Warszawie. Jako dziecko przeżyła Getto Warszawskie, podczas powstania w Getcie w roku 1943 ukrywała się w bunkrze na Miłej 3. W obozie na Majdanku spędziła noc w komorze gazowej, rano okazało się, że Niemcom zabrakło gazu. Później była więźniarką Auschwitz-Birkenau, Ravensbrück i Neustadt-Glewe, gdzie została wyzwolona 2 maja 1945 roku. Autorka wielu książek poświęconych tej tematyce.

Twórczość Haliny Birenbaum jest świadectwem pamięci o Holokauście i zarazem dowodem niezniszczalności najbardziej ludzkich uczuć: nadziei, miłości do świata...

O książce *Miłość i pamięć ocalone z Holocaustu*.

Jeden z najmocniejszych od lat głosów z głębi Shoah, niezwykle poruszające świadectwo siły życia, kobiecości i pamięci rodziny.

Ta przejmująca historia – książka pisana z perspektywy kobiecej – to opowieść o sprzecznościach i podobieństwach: o Polsce i Izraelu, o łączeniu macierzyństwa z pisaniem, o wpływie Zagłady na relacje z innymi, dziećmi. A nade wszystko to manifest chęci życia i pojednania – nie tylko między krajami, ale także między ludźmi i rodzinami.

O tomie poetyckim *Moje życie zaczęło się od końca*

To tom po raz pierwszy obejmujący całość dorobku poetyckiego Haliny Birenbaum, więźniarki Auschwitz ocalałej z Zagłady. Jest to poezja naznaczona przede wszystkim tragedią Szoa, wspomnieniami o członkach najbliższej rodziny, zmaganiem z przeszłością i teraźniejszością. Ale jest to też poezja poszukująca nowych dróg, umiejąca dostrzec sens życia i wartość człowieka.

Literary Waves

Halina Birenbaum

Z historii mojego
życia po zagładzie

Halina Birenbaum
Z historii mojego
życia po Zagładzie

WSPOMNIENIA

Literary Waves



Literary Waves

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

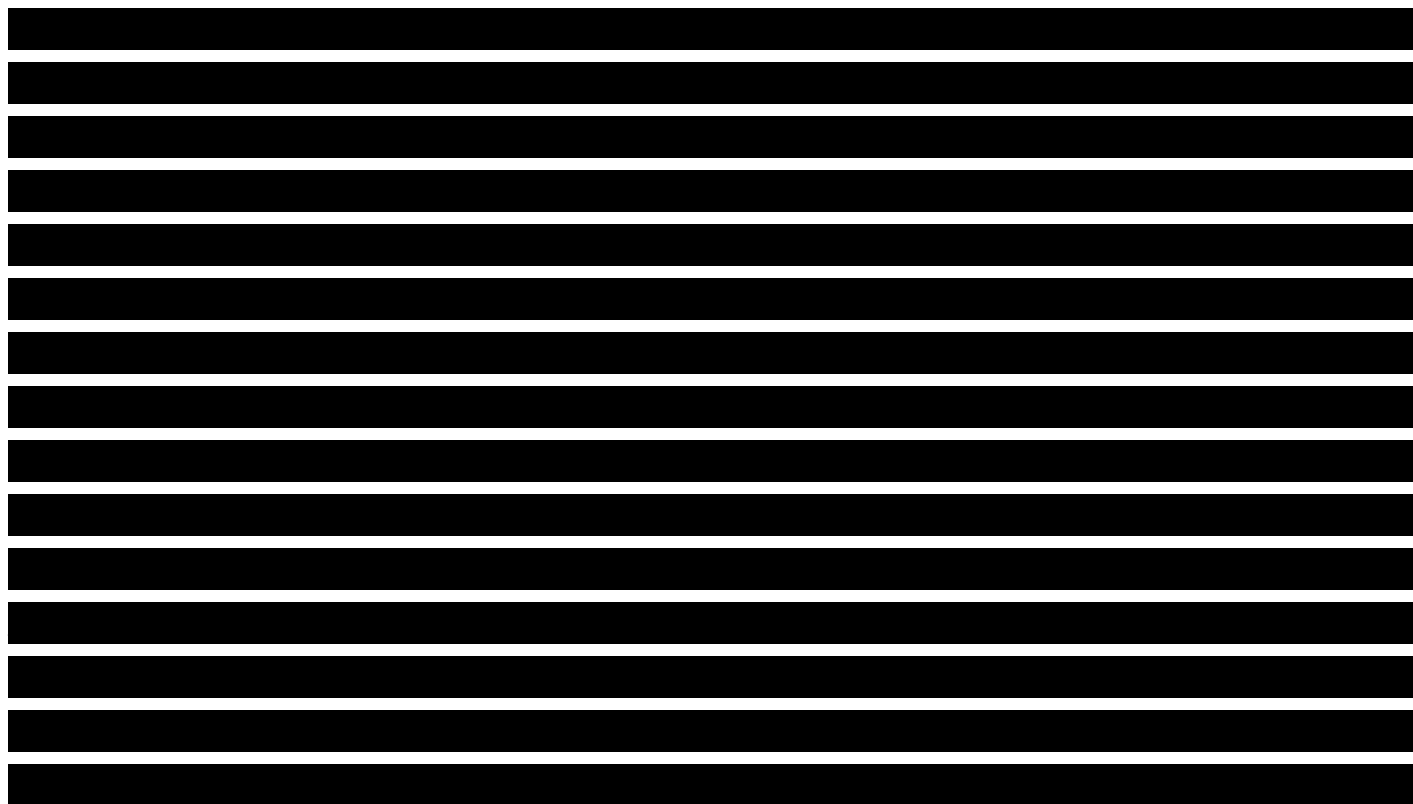
[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Od lewej: Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną Ireną, R. T. Hon i John N. Turner, późniejszy premier Kanady, 1966 r., fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego



[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Jerzy Koreya-Krzeczowski z żoną i papieżem Janem Pawłem II, fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED].

[REDACTED]

[REDACTED]

„Polacy nie gęsi i swój język mają” - Jerzy Korey-Krzeczowski (1)

[REDACTED]

[REDACTED]

**„Polacy nie gęsi i swój język mają” -
Jerzy Korey-Krzeczowski (1)**

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Wspomnienia do 1951 roku - Polska, Rumunia, Niemcy

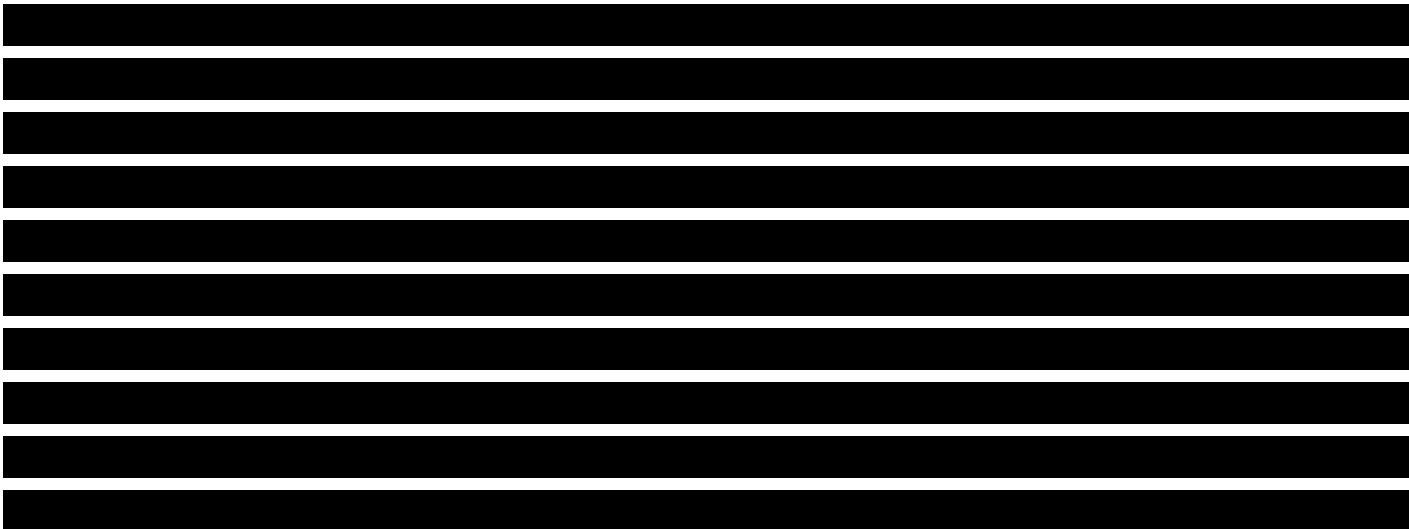
[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Ojciec Antoni Marian Krzeczowski

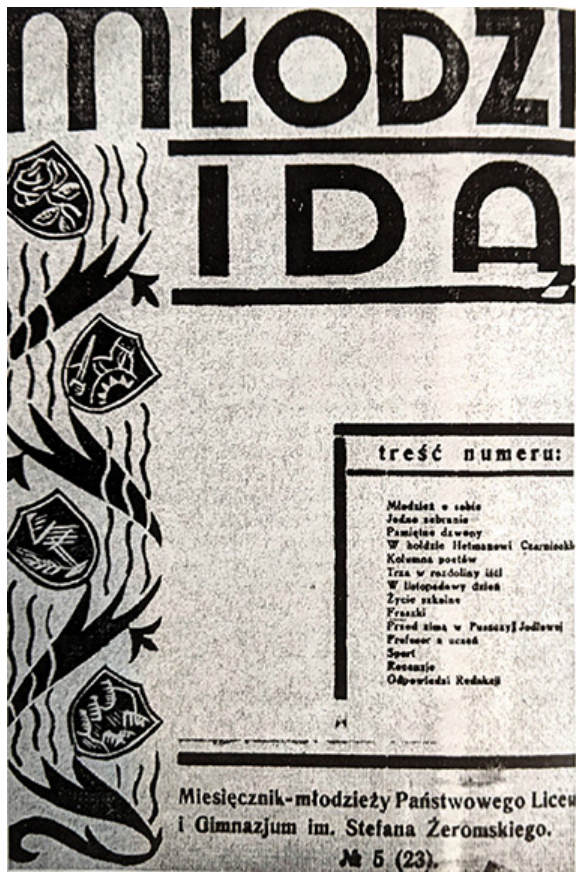


[REDACTED]

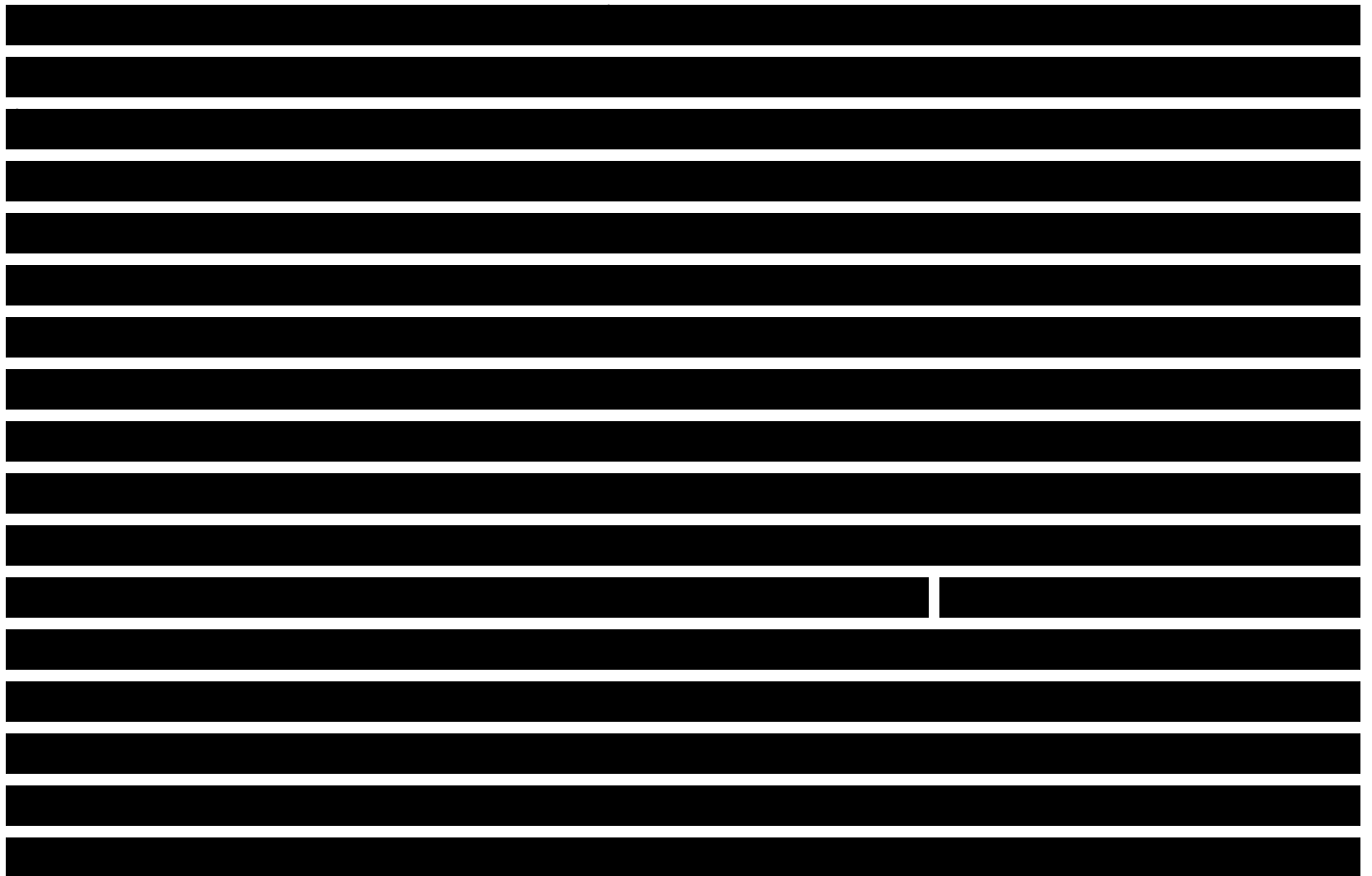
[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



„Młodzi idą” okładka pisma Gimnazjum w Kielcach.



[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Jerzy Krzeczowski w Kotlicach, 1944 r.

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Ślub z Ireną Latacz, lipiec 1944 r.

Na placówkach

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Jerzy Krzeczowski z synem Andrzejem, Baden-Baden, 1949 r.

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

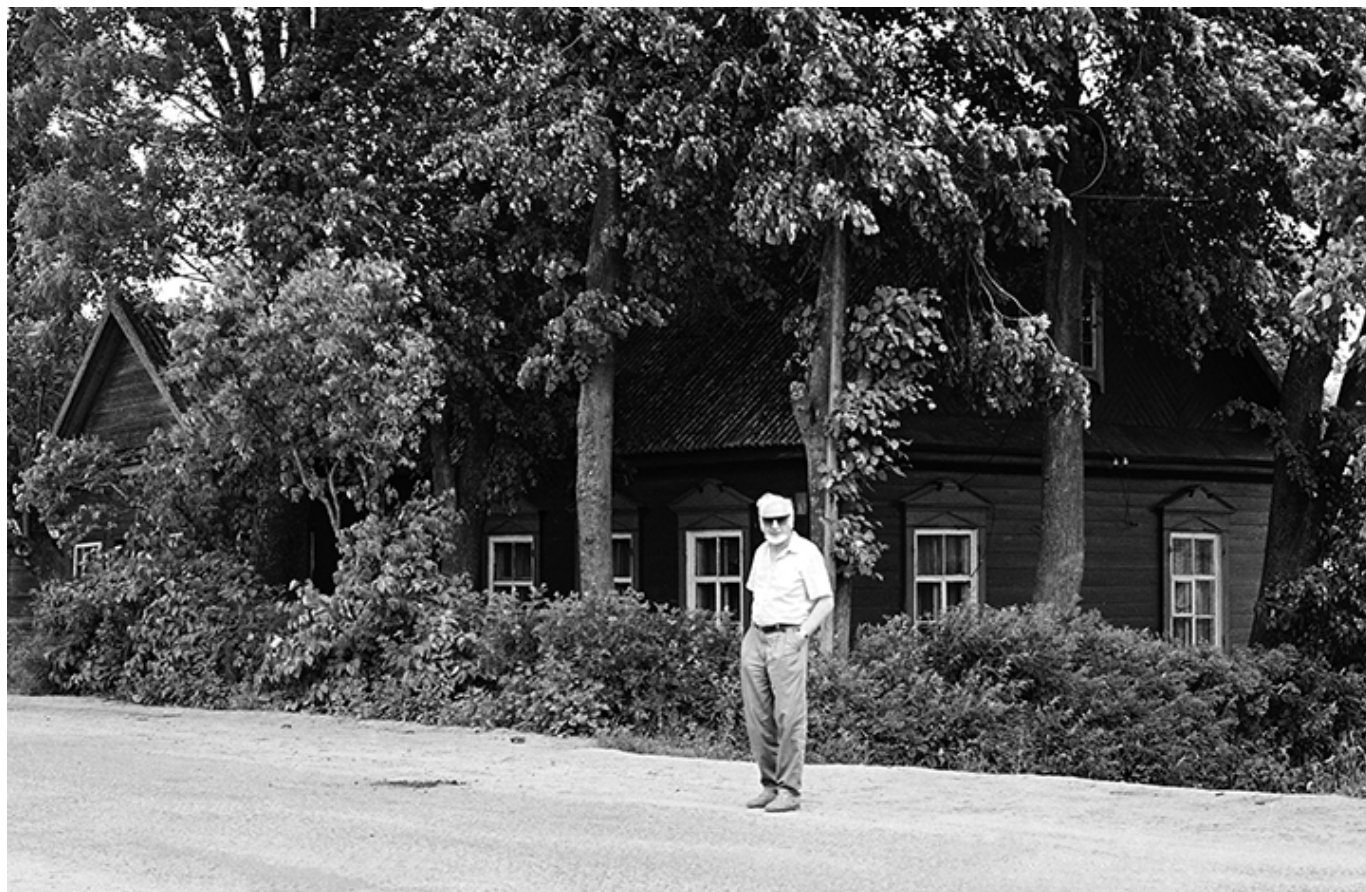
[REDACTED]

„Polacy nie gęsi i swój język mają” - Jerzy Korey-Krzeczowski (2)

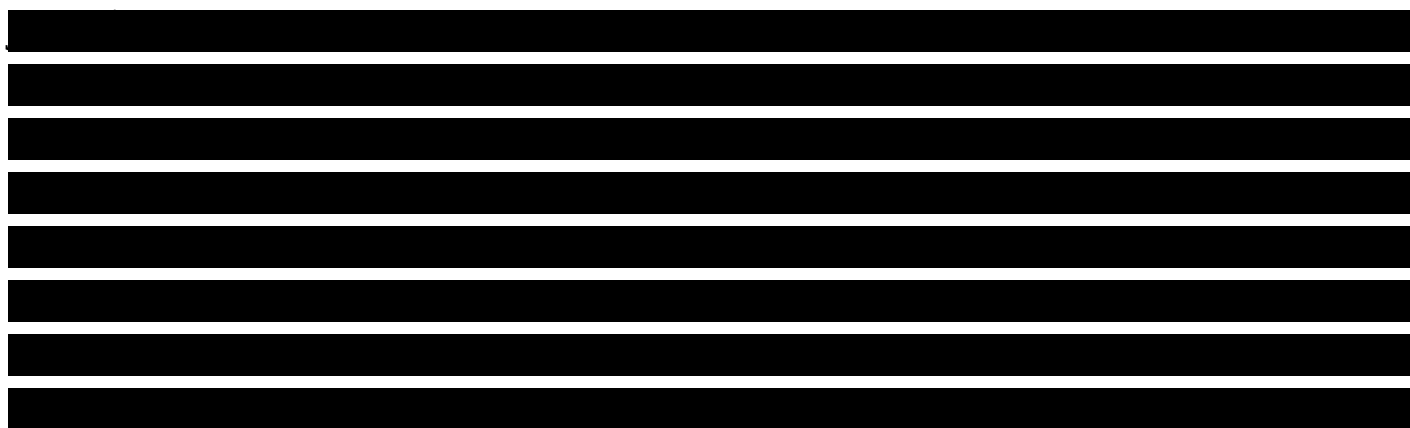
[REDACTED]

[REDACTED]

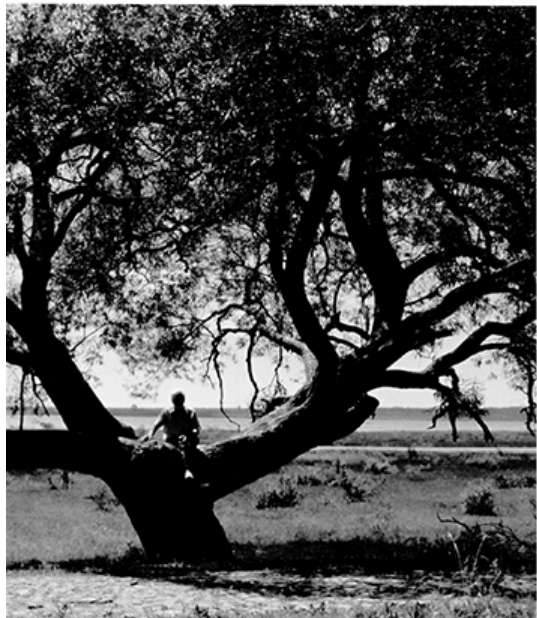
Brasław we wspomnieniach Jerzego Żurawskiego



Jerzy Żurawski na tle rodzinnego domu w Słobódce, koło Brasławia, fot. Wrzesław Żurawski, 1994 r.



JERZY ŻURAWSKI



MOJE ŻYCIE
CZ.I



[Redacted text block]

[Redacted text block]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Widok Brasławia z jeziora Nowiato, po lewej kościół, w głębi cerkiew, po prawej Góra Zamkowa, fot. sprzed 1939 r.

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

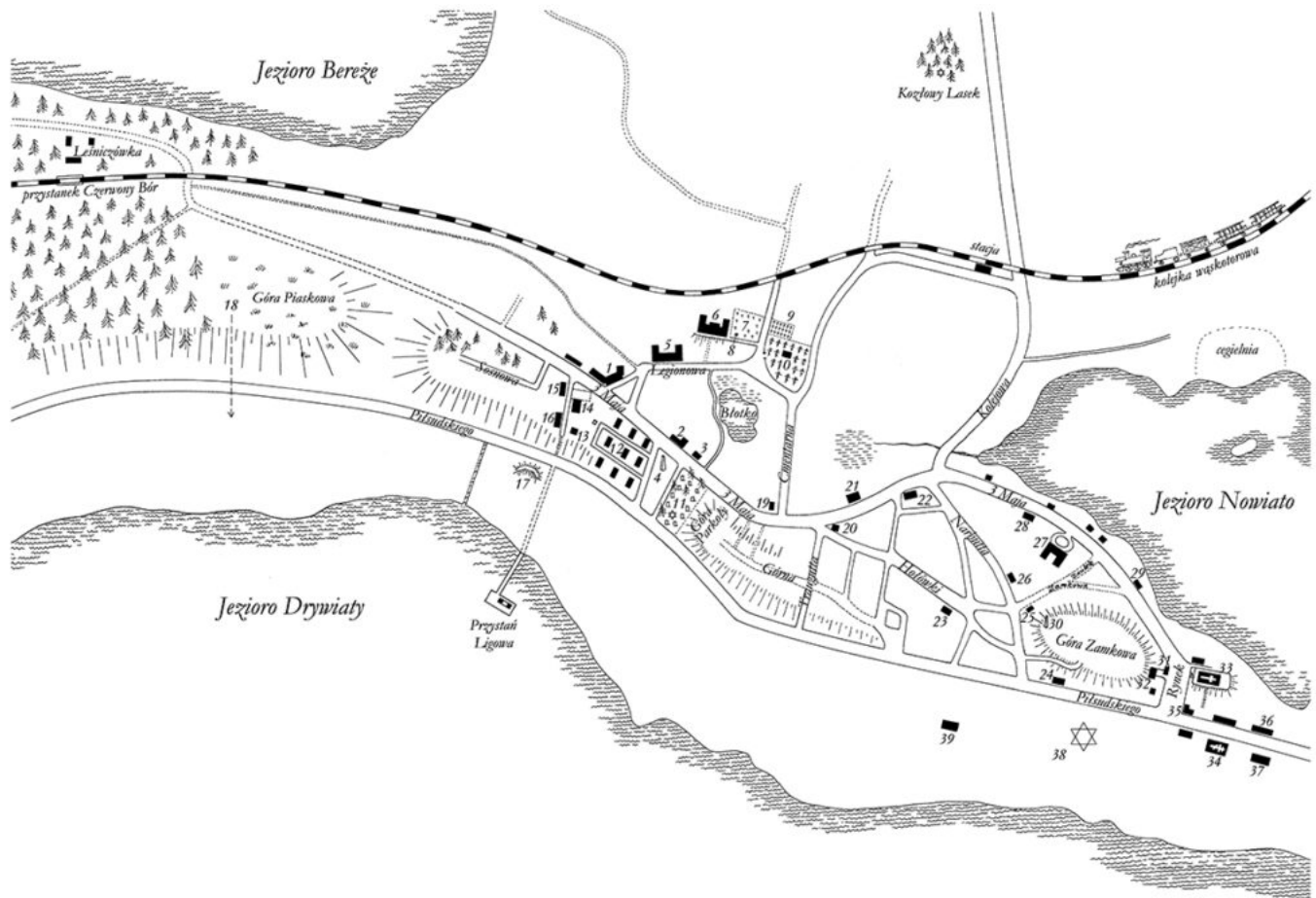
[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

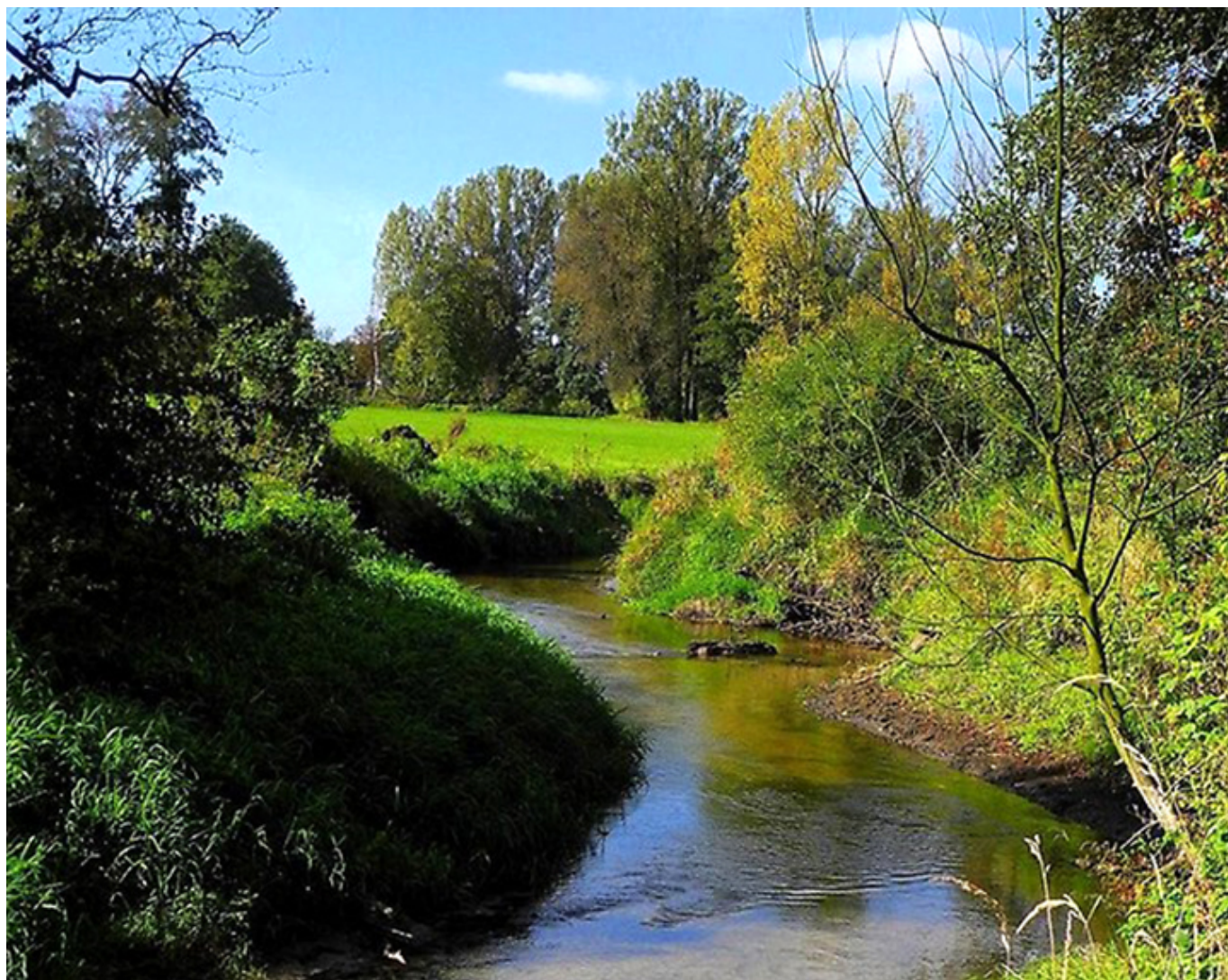
[REDACTED]



Plan dokumentuje miasto około roku 1939

1. Starostwo Powiatowe
2. Sejmik Powiatowy
3. Bank
4. Pomnik Józefa Piłsudskiego
5. Szkoła Powszechna
6. Gimnazjum
7. Cmentarz rzymskokatolicki
8. Grób Wincentego Uniatyckiego i Antoniego Żurawskiego
9. Cmentarz żołnierzy polskich z pierwszej wojny światowej
10. Cmentarz prawosławny
11. Cmentarz żydowski
12. Kolonia Urzędnicza
13. Willa starosty
14. Dom Sportowy
15. Policja, za Niemców żandarmeria

Trzy młyny nad rzeką Łupią



Arkadia nad rzeką Łupią

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[Redacted text block]

[REDACTED]



Młyn Tadeusza Cieplińskiego w Skierniewicach przy ul. Ławki

[REDACTED]

Pan Tadeusz Ciepłiński został właścicielem młyna najprawdopodobniej dopiero po II Wojnie Światowej. Przedtem był to młyn pana Mońki. Gdy byłem pierwszy raz w Argentynie w roku 1973, odwiedziłem mojego wuja, Stanisława Łazęckiego, rodzzonego brata matki. Opowiadałem mu o tym młynie podając nazwisko pana Ciepłińskiego jako właściciela. Na co wujek: - *Jak to? Przecież to Mońko jest właścicielem!* Niestety, na temat pana Mońki nic nie potrafiłem mu powiedzieć.

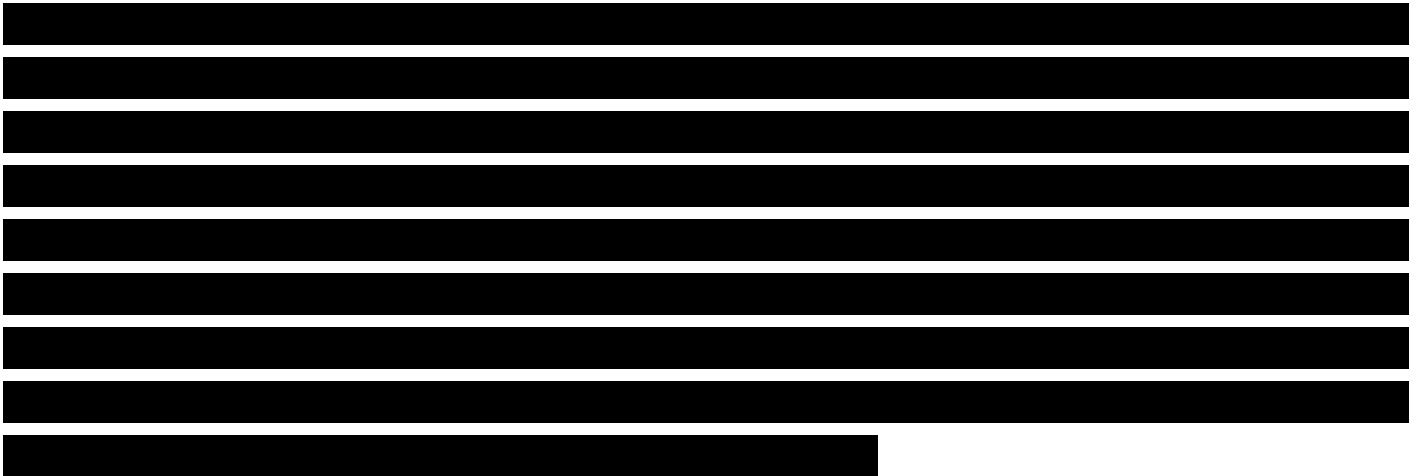
[REDACTED]



Młyn Godosa w Sierakowicach Lewych



Młyn Godosa w Sierakowicach Lewych



Willa Kozłowskich w Skierniewicach

Zródła fotografii:

- Centrum Kultury i Sztuki w Skierniewicach i Akademia Twórczości,
- Bikestats Meteor 2017 (relacje z wycieczek rowerowych po powiecie skierniewickim),

- Mapa turystyczna województwa łódzkiego w aplikacji Traseo.

W magazynie „Culture Avenue” można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu „**Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty**”.

Wyspy Zielonego Przylądka, 2006. Część I.

Wyspy Zielonego Przylądka, 2006. Część II.

Z rodzinnego albumu. Najdłuższe wakacje.



Teresa Fabijańska, maturzystka, 1951 r., fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Spoglądam wstecz z perspektywy pięćdziesięciu pięciu już lat na ostatni rok szkoły średniej ogólnokształcącej i okres ten jawi mi się ponuro. Im bliżej matury, tym gorzej. Pierwsze dwa lata były normalne: pierwsza i druga klasa gimnazjalna z programem opartym na przedwojennym. W trzecim roku znalazłam się nagle w klasie dziewiątej, bo właśnie wprowadzono zreformowaną po sowiecku jedenastolatkę. Żeby rachunek się zgadzał, mój rocznik repetował drugą klasę, młodsze koleżanki tymczasem nas dopędziły. W rezultacie ja uczyłam się 12 lat łącznie ze szkołą podstawową, a roczniki młodsze tylko 10. Wszystko było postawione na głowie. Historię zaczynałyśmy trzy razy od Piastów i nigdy nie dojechałyśmy do rozbiorów. Historyczka była z przypadku lub po linii partii, bo ograniczała się do dyktowania nam konspektu narzuconego przez kuratorium czy ministerstwo. To były same hasła w telegraficznym skrócie brzmiące dla nas podobnie, jak zaklęcia. Jakże zazdroś-

ciłam bratu Juliuszowi, który miał szczęście być uczniem prof. Michała Pieszki, wspomnianego już przeze mnie wcześniej, znakomitego pedagoga i znawcy pasjonującej historii i geografii. On uczył chłopców bez podręczników, ale za to jak!

Szkoła średnia to taki okres w życiu młodego człowieka kiedy chłonie się to, co podane w sposób atrakcyjny i odrzuca wszelkie nudy, choćby najmądrzejsze. Dużo zależy od pedagoga - porwie, zapali do przedmiotu, czy zohydzi. Ja musiałam później uczyć się historii sama. Zresztą uczę się jej z pasją po dzień dzisiejszy. Dwa tygodnie przed maturą wyznaczono nam obowiązkowy egzamin z pięciu przedmiotów tzw. Wszechnicy Radiowej. Kto miał czas tego słuchać? - Audycje nadawane przez kołchoźniki - czyli głośniki radiowe, były nudnymi, suchymi wykładami o kierunku ideologii marksistowskiej, z przekreconymi faktami i zafałszowaną interpretacją, a do tego nadawano je w godzinach, gdy normalni ludzie jeszcze śpią. Do każdego przedmiotu były skrypty, których nie dało się czytać. Papier gorszy od ówczesnego gazetowego, szaro-brudny i nieczytelne odbitki z powielaczy denaturatowych. W dodatku na wagę złota. Zbierałyśmy się więc grupkami w prywatnych domach. U Alisi (Alicji) Treflerówny, gdzie w kwietniu było pioruńsko zimno, u Heli Zawrotniak - strasznie daleko, u Heni Walewskiej lub u Lalki (Ireny) Szomańskiej, gdzie było najmilej. Zawsze gościnny dom z nianią, coś smacznego i kochająca mama. Pewnie uczyłyśmy się i u mnie, ale jakoś tego nie pamiętam. Sześć zaprzyjaźnionych maturzystek. Po tym niewątpliwym stresie, przygotowywałyśmy się już inaczej i do innych przedmiotów bardzo intensywnie, bo czas nam się skrócił.

Do lęku o wiedzę w głowie doszedł strach przed „czynnikiem społecznym”, czyli osobą spoza szkoły, która zasiadała w komisji z ramienia partii politycznej, oceniała uczennicę i miała prawo zadawać pytania z ideologii marksistowskiej - komunistycznej. Małe potknięcie dyskwalifikowało maturzystkę. Pamiętam swój egzamin, podczas którego byłam tak spięta, że mój mózg przestał myśleć. Na pytanie zadane przez bardzo swobodnego zetempowca (organizacja młodzieży komunistycznej - ZMP - Związek Młodzieży Polskiej) „czy społeczeństwo ZSRR jest klasowe?” - odpowiedziałam gorąco - skądże!” I otrzymałam długie pouczenie, którego esencję zrozumiałam, że na tym etapie jeszcze jest podział klasowy, ale w przyszłości... Nie umiałam wyobrazić sobie tej przyszłości. Wszak uczono nas o możliwości odwrócenia biegu rzek syberyjskich (ciekawe, że ta bzdura przetrwała aż do Putina, który ogłosił oficjalnie odstąpienie od tego planu). Głoszono nam

oczywiście zwycięstwo człowieka radzieckiego nad Ziemią i Kosmosem. Mnóstwo innych rzeczy niemożliwych. Co jednak można zrobić z mózgiem młodego, rozwijającego się człowieka. Tylu uwierzyło i służyło!

Do szkolnego okresu w Zamościu muszę dodać coś, czego nie da się zapomnieć. Były to roboty „kołchozowe” zamiast lekcji. Kilka dniówek w roku w porze jesiennej. Wożono nas, dziewczęta otwartymi przyczepami za traktorem lub ciężarówkami do kartofli czy buraków. Państwowe Gospodarstwo Rolne w Jarosławcu odległym o 15 km od Zamościa na wschód, miało wyjątkowo trudne warunki i ciężkie prace np. obdzieranie buraków z liści rękoma w szczyrim polu przez 8 godzin z przerwą na posiłek. Łatwiej już wyłuskiwało się kaczany kukurydzy, a najtrudniejsze było zbieranie z pola ziemniaków za koparką. Ziemia tam ciężka, błotnista, przyczepna. Zawsze wypadła listopadowa aura, której błotne skutki dawało się pokonać tylko w specjalnych gumiakach i w spodniach. Takiej odzieży nie miałyśmy, więc marżyśmy okropnie. Niszczyłyśmy i tak z trudem zdobyte buty. W nagrodę czekał nas w robotniczej stołówce gorący posiłek – gęsta zupa grochowa z różnymi dodatkami (wsadem mięsnym!) i z chlebem do woli. Nigdy w życiu takiego apetytu nie miałam, a smak wybornej grochówki na wędzonce do dzisiaj pamiętam.

Poznając trud pracy robotnika i chłopa lekko przenosiłyśmy się w świat artystyczny biorąc udział w szkolnych przedstawieniach na scenie „Stylowego” i w auli gimnazjum męskiego.

„Stylowy” to wspaniały gmach dawnego kościoła i klasztoru oo. franciszkanów z poł. XVII w., który przetrwał do 1817 r. mimo kasacji zakonu przez zaborcze władze Austrii, po czym został przeznaczony na magazyn wojskowy z tym, że zabudowania klasztorne i piękną, osiemnastowieczną dzwonnice rozebrano. Sam kościół przerobiono na koszary. Za wolnej Polski w 1918 r. pomieszczono w tym gmachu Sejmik Powiatowy i Dom Ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej. Wnętrze środkowe – nawę kościoła adaptowano na kino-teatr. Tutaj też przed wojną znajdowało się pierwsze, małe muzeum regionalne, po wojnie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w części zachodniej, a sala duża, przestronna z kuluarami, sceną i obubocznym *foyer* służyła społeczeństwu miasta na wszystkie imprezy kulturalne.

Tak było do lat dziewięćdziesiątych, gdy o gmach upomnieli się bezprawnie usunięci oo. franciszkanie i go odzyskali. Dzisiaj jest tam kościół. Dla mnie był to szok. Raz byłam tam wewnątrz i nie mogłam się modlić. Przypomniała mi się pantomima J. Bayera „Wieszczka lalek” i „Laleczka z saskiej porcelany” Anny Dąbrowskiej reżyserowane przez p. Reginę Cieślakową. A w tytułowej roli Danusia Kuraho-Skraho, utalentowana wokalnie i choreograficznie, miękka jak guma i zręczna, jak primabalerina. Byłam markizą w różowej krynolinie i jasnej peruce (ja, czarna z natury) z francuskimi loczkami, zupełnie odmieniona. Tańczyłyśmy gawota i menueta w cztery pary, same dziewczęta. Moim chłopcem była Lalka (Irena) Szomańska nieco wyższa i smukła. „Ach, co za gracia, jaki wdzięk!” – śpiewał chór. „Kaida z nich inna tuualetta, parole d’honneur, to jak we śnie...”.

Normalnie „Stylowy” był kinem i chodziło się na wszystkie ciekawsze filmy oraz na obowiązkowe koncerty „Artosu” w ramach wychowania muzycznego. Pamiętam, kiedyś wyświetlano „Halkę” wg. Moniuszki i film ten był dozwolony od lat 18-tu. Żeby kupić bilety trzeba było okazać legitymację, kasa młodszym nie sprzedawała. Podrobiłyśmy więc legitymacje, na szczęście ważność ich już się kończyła. Nie wolno nam było chodzić na ostatni seans o 20-ej. Spotkana na ulicy młodzież mogła być legitymowana, a konsekwencje wynikające z odebrania legitymacji i oddania jej do Dyrekcji szkoły nie rokowały niczego miłego. Dzisiaj wydaje się to policyjnym rygorem, jednak nie było nam z tym źle, a ileż bezpieczniej. Szkoda, że zostało to zniweczone ułudą źle pojętego słowa „wolność”, „luz”. Zdeprawowano młodzież, dobre zamieniając złem.



Dwie maturzystki, Teresa Fabijańska (z lewej) z Lalką (Ireną) Szomańską w parku w Zamościu, 1951 r., fot. arch. autorki

Do szkoły chodziłam pieszo ok. 2 km w jedną stronę, ale ja tę drogę pokonywałam dwa lub trzy razy dziennie: na 8-mą, zawsze jednakowo, na lekcje i powrót ok.14-ej

do 15-ej na obiad zawsze rodzinny, zawsze przygotowany przez kochającą mamę i spożywany bez pośpiechu, w dobrej atmosferze przyjacielskiej rozmowy z rodzicami. Potem biegłam na popołudniowe zbiórki harcerskie, próby przedstawień lub zebrania Koła Zainteresowań, które ktoś mądrze wymyślił dla rozwoju intelektualnego bardziej indywidualnego, świetne *antidotum* na coraz brutalniej i wszechobecnie ingerującą w życie szkoły i poszczególnych uczennic politykę. Koła te miały różny profil, ale zdecydowanie dominował kierunek humanistyczny. Należałam do Koła Filozofów. Pierwszy referat, jaki sama wymyśliłam i napisałam, nosił tytuł „Duch grupy” - bardzo interesujące pojęcie *stricte* filozoficzne. Nieco później założyłam Koło Miłośników Słowackiego dla przeciwwagi założonemu w liceum męskim Kołu Miłośników Mickiewicza. Rozpoczęła się szlachetna rywalizacja, bo poprzez wiedzę wyczytaną i napisaną udowadnialiśmy, który z wieszczów był większy dla narodu polskiego. W ruch poszły opracowania prof. Kleinera, Chrzanowskiego i świeżo wydanego Jastruna. Długie cytaty z dzieł obu poetów służyły do podtrzymania stanowiska. Myślę, że wiele nam to dało, poszerzyło horyzonty. Wszystkie dzieła Juliusza Słowackiego były w domu, uratowane przez Witka przed spaleniem na stosie w Hrubieszowie na początku wojny. Tak Niemcy niszczyli polską kulturę. Cała Miejska Biblioteka poszła na stos.

Gdy przyszedł maj i czerwiec biegałam jeszcze na wieczorne nabożeństwa do św. Katarzyny. Skąd brałam tyle energii? - nie było czasu na odpoczynek, polegiwanie z książką w ręku. Tę zawsze brałam, gdy kładłam się spać i po paru stronicach słodko zasypiałam. Przez to bieganie kilometrami za mało czytałam literatury pięknej. Ledwie nadążałam z lekturami, a że te były dobrane tendencyjnie, odrzucałam je już z góry uważając, że nie są warte mojego czasu. „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Matka” Gorkiego, „Dziewczęta z Nowolipek”, „Grypa szaleje w Naprawie” - prześlizgnęły się przez mój umysł, jak dopust Boży. Nic z nich, prócz tytułów, nie pamiętam. Jedyne wolne dni w tygodniu to niedziela, którą zaczynałam mszą św. w kościele szkolnym, potem tradycyjny spacer ulicą Akademicką, spacer po parku z koleżankami, czasem i z kolegami. Pamiątkowe fotografowanie, dużo śmiechu, błyskotliwe, mądre rozmowy i powrót do domu na obiad. Po południu spotkania towarzyskie u koleżanek i wczesnym wieczorem byłam już w domu. Kiedy odrabiałam lekcje; nie pamiętam. A przecież dawałam korepetycje z języka polskiego i z francuskiego młodszym koleżankom. Nawet zdarzyła mi się

nagroda od rodziców moich „uczennic” w postaci pieniędzy, słodyczy, czy kwiatów. Te pieniądze były pierwszymi zarobionymi przeze mnie cierpliwością.

Matura jakoś przeszła. Pierwszy w życiu bal do świtu w upalny czerwiec 1951 r. pamiętam, jakby to było wczoraj. Miałam nową i najmodniejszą sukienkę z białej żorżety w drobne, czerwone kropki. Przedłużony, dopasowany karczek, wycięcie w *caro*, dół szeroki, marszczony na biodrach z wypuszczoną riuszką, małe bufki. Czułam się świetnie, bawiłam nieźle i o wschodzie słońca odprowadzana przez swojego „obtupywacza” Rucia - Henryka Jakubca, podziwiając zjawiskowe o tej porze dnia niebo, szłam ku nowej, wierzyłam, że świetlanej przyszłości.

Chciałam studiować geografię na lubelskim UMCS-ie (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej). Wypełniłam papiery, oddałam do sekretariatu szkoły, skąd miały być przesłane na uniwersytet. Taka wtedy była procedura. Sądzę, że jednak nigdy nie ujrzały dziennego światła, a tym bardziej w Lublinie. Miałam przecież opinię „czarnej reakcji” i twierdzy nie do zdobycia. I to była prawda. Nawet nie próbowano mnie podchodzić, co czyniono z innymi koleżankami, które nie były zetempówkami. Nie byłam dla nich nic warta. Wiedziałam o tym, czułam to i postanowiłam iść na historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Była tam już Ela, moja siostra na polonistyce, właśnie kończyła studia i był brat Julek na prawie. W ten sposób zagrałam na nosie Dance T., od której opinii składanej na piśmie zależał los nie jednej z nas. Wyobrażam sobie jaką opinię miałam ja, jej była przyjaciółka, z którą rozstała się z powodu politycznego. Nigdy nie zapomnę tego dramatu, jaki rozegrał się między nami w pewien zimowy dzień po feriach świątecznych, gdy zziębnięte na kość podpierałyśmy gorący, ogromny piec na korytarzu szkolnym, przeraźliwie ponurym, jakby zaplanowaną scenerią do naszej rozmowy. Danka właśnie wróciła z obozu ZMP z Lublina i z entuzjazmem, na jaki tylko ją było stać, opowiadała o wspaniałych ludziach - ideowcach komunistycznych, którzy przebudują świat na lepszy, bez religii, bez księży i kościołów, bo to jest „opium dla ludu”. Życzyła mi, abym przejrzała na oczy i poszła w jej ślady. Ona chce jechać na studia do Moskwy i zostać wielkim człowiekiem. A ja płacząc, szlochając powiedziałam tylko jedno zdanie: Danko, to koniec naszej przyjaźni, nie będę z tobą siedzieć w jednej ławce ani jednej chwili dłużej. I tak się stało już na zawsze.

Co stało się z tą śliczną, hożą polską dziewczyną, niezwykle uzdolnioną? - A no zdała świetnie maturę, wyjechała do Moskwy. Studiowała chemię na Uniwersytecie Łomonosowa. Tam zakochała się w koledze, Rosjaninie i musiała się z nim rozstać, ponieważ Rosjanom nie wolno było żenić się z cudzoziemkami, a może tylko z Polkami. Tego nie wiem dokładnie. W każdym razie przeżyła dramat i rozczarowanie, bo chłopiec rozpląnął się jak we mgle. Przeżyła wstrząs, gdy zmarł jej bóg Stalin. A co musiało się dziać w jej ideologicznym wnętrzu, gdy za chwilę okazało się, że to największy zbrodniarz w całym, komunistycznym molochu, jakim był wtedy ZSRR. Wyrzucono go z mauzoleum - przepięknego, modernistycznego, marmurowego grobowca Lenina, pod którym stały najdłuższe kolejki świata, by przez moment spojrzeć na oblicze tego, który świat przewrócił do góry nogami. Stalin został początkowo umieszczony obok Lenina i było dwóch bogów do oglądania, ale po odbrazowaniu pochowano go cichutko pod murem Kremla pod czarną, granitową płytą, na której napisano jedynie: Josip Wisarionowicz Stalin i lata życia. Tyle. I nie ma już tutaj ogonka chętnych do oddania czci. Lenin wiecznie żywy.

Co ta Danką musiała tam przeżyć, ona taka płonąca żagiew. Nigdy nie zazdrościłam jej sukcesów w szkole, chociaż trochę rywalizowałyśmy wcześniej, za czasów harcerskich, gdy była gorliwą katoliczką, żeby nie powiedzieć bigotką, i zapaloną harcerką. Wszak składałyśmy przyrzeczenie harcerskie na Boga i honor Ojczyzny. No, ale jeśli się zamienia Boga na bóstwo, to w środku chyba wali się wszystko. Współczuję jej .

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

*

Poprzednie części wspomnień:

Pierwsze lata po wojnie - Academia Zamoscensis

Powrót ojca z niewoli

Zobacz też:

Historia w karetach zaklęta